



Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych
3.0 Polska(CC BY-NC-ND 3.0 PL)

DZIENNIK JAKO WOLA I NIEWYDARZENIE

O *DZIENNIKU ROKU CHRYSZTUSOWEGO* JACKA DEHNELA - CZYLI O PAMIĘCI JAKO NARRACJI, O TYM, JAK UNIKAĆ ZASTYGNIECIA W PISARSKIEJ MARCE ORAZ O BYCIU ODŹWIERNYM LITERATURY - Z AUTOREM ROZMAWIA MACIEJ WOŹNIAK.

Jacek Dehnel urodził się w 1980 roku w Gdańsku. Poeta, prozaik, tłumacz. Laureat m.in. Nagrody Fundacji im. Kościelskich, Paszportu Polityki, Śląskiego Wawrzynu Literackiego. Dwukrotnie nominowany do Nagrody Angelus, czterokrotnie do Nagrody Literackiej Nike i raz do Nagrody Poetyckiej im. Wisławy Szymborskiej. Autor m.in. siedmiu tomów poezji, czterech powieści, dwóch zbiorów opowiadań, trzech zbiorów esejów oraz pastiszu klasycznej powieści kryminalnej *Tajemnica domu Helclów* (napisanej wspólnie z Piotrem Tarczyńskim pod pseudonimem Maryla Szymiczkowa). Tłumaczył poezję, m.in. Philipa Larkina i Osipa Mandelstama, a także prozę, m.in. Francisa Scotta Fitzgeralda, Henry'ego Jamesa i Edmunda White'a (tego ostatniego razem z Piotrem Tarczyńskim). Redaktor zagranicznych antologii poezji polskiej, felietonista tygodnika „Polityka”, członek Rady Programowej Galerii Zachęta, autor przewodnika po historii Muzeum Narodowego. W latach 2006–2009 prowadził w TVP 1 (wraz z Tymonem Tymańskim i Maciejem Chmielem) program kulturalny LOSsKOT. Jego najnowsza książka *Dziennik roku chrystusowego* ukazała się w listopadzie 2015 r.

„Cały dzień zmarnowany na grę w Cywilizację V” – tak zaczyna się w Twoim *Dzienniku roku chrystusowego* notatka z dnia 16 maja 2013 r. (a dopisek „druga w nocy” sugeruje, że to westchnienie z gatunku *Post coitum omne animal triste est*). Na starym dobrym ostrzu noża „trudniej dzień dobrze przeżyć niż napisać księgę” (ba – niż stworzyć cywilizację) staje zatem kwestia: wirtualia czy realia, literatura czy życie, no i pojawia się pytanie o formę pisarskiego dziennika u autora ledwie trzydziestoparoletniego. Czy to nie miły czas po temu, by szaleć, żyć, zaciągać u rzeczywistości lekkomyślne kredyty, natomiast literacką buchalterią, oddaniem tych nieprzytomnych długów, łamać sobie głowę później?

Jakie „szaleć”, kiedy ja nie mam żadnego szaleńczego życia? Wojny, na szczęście, nie ma i nie było od lat siedemdziesięciu, nie prowadzę ekspedycji na antypody, nie jestem żadną ważną publiczną figurą (od której oczekuje się potem memuarów, więc powinna prowadzić dzienniki); moje życie rodzinne i zawodowe jest bardzo zwyczajne. Jeżdżę pociągami i spotykam się z czytelnikami w bibliotekach miejskich albo klepię w klawiaturę. Szaleństwa, w sensie medycznym, też nie przeżywam. Może dlatego nigdy przesadnie nie interesowałem się literacko samym sobą. Znajdowałem, a czasem znajdowali mnie, bohaterowie, znajdowały historie do opowiedzenia, obrazy do zapisania; jeśli gdzieś się tam pojawiałem, jak w *Lali*, to jako postać słuzębna. Choć nie, jest jeden wyjątek: powieść *Dni hojności*, ale ona nieprzypadkowo, jako juvenilna, nie wyszła. W czasach studenckich przez parę lat prowadziłem – niezbyt zresztą regularnie – dziennik, ale w żadnym razie nie z myślą o publikacji, wyłącznie jako ćwiczenie pisarskie. I dopiero parę lat temu pomyślałem sobie, że chciałbym napisać dziennik z konceptem, dziennik roku chrystusowego właśnie. Taki wycinek z życia, jednoroczny, jak próbkę z czasu, odwiert.

Jestem świeżo po lekturze wydanej przez Mariusza Szczygła znakomitej *Fabryki Absolutu* Karela Čapka. I tam pada zdanie nienowe, ale ujmujące, jak sądzę, samą istotę literatury, innych sztuk, nauki, a mianowicie:

„Wszystko, co istnieje, godne jest uwagi”. Dodać do tego należy, niestety: „jeśli się to odpowiednio ujmie”. Więc godne uwagi jest i życie trzydziestotrzylatka; chodziło o to, czy tę próbkę uda mi się odpowiednio ująć, tak, by czytelnik nie żałował, że sięgnął po książkę.

Czy kiedy zmagając się z formułą dziennika, piszesz cokolwiek kokieteryjnie: „znów mam kaca moralnego, że jakiegoś drobiażdżku nie odnotowałem”, nie podejrzewasz, że ten kac to jest taki „kac kryptoteologiczny”, wyrażający tęsknotę za Rejestrem Ostatecznym, w który ma trafić (albo powinno trafić) wszystko, co było, a nie jest? Pan Bóg na kacu moralnym – czyż to nie pociągająca autodemaskacja pisarskiej podświadomości?

Tak, oczywiście – co innego, jeśli ktoś prowadzi sobie diariusz przez lat trzydzieści czy pięćdziesiąt, wtedy mogą być wyrwy, nieciągłości. Ale taka wąska próbka czasu powinna być jak najdokładniej przebadana, a zatem opisana. Pozostaje pytanie o kwant, o dokładność. Jak gęsto rejestrować? U Borgesa są ci szaleni kartografowie, którzy robią mapę świata wielkości świata, jeden do jednego, ale z zapisem jest gorzej niż z mapą. Przerasta mnie sama próba wyobrażenia sobie *zapisu* doskonałego. Taki dziennik musiałby opisywać bodźce na wszystkich polach – więc nie tylko, co się kiedy zobaczyło, co kto powiedział, co mu się odpowiedziało, ale i wahania temperatury, jakiś krzyk w oddali, gdzieś na peryferiach naszego słyszenia, kolory, zapachy... każda minuta rozrastałaby się do jakichś nieobjętych foliałów, to zupełny koszmar. Nawet Bóg nie miałby cierpliwości tego czytać – więc trzeba ścinać, segregować, selekcjonować. Problem pojawia się, kiedy wydarzyły się rzeczy spełniające wymogi zapisu, ale przepadły: dzień, dwa, tydzień się ich nie notowało, nosiło się w głowie i nagle już ich nie ma. Ale taka luka to też swego rodzaju rejestracja, rzecz jasna, wieloznaczna. Może coś było za trudne do napisania, może za dużo się działo, może nastąpiło jakieś znużenie. Różnie.

Cieszysz się (a czasem trochę martwisz) opinią pisarza modernistycznego, takiego, co to terminował w XIX-wiecznych literackich warsztatach (patrz: *Balzakiana*), nie bacząc na hulający wokół postmodernizm. Więc czytelnik ma prawo odnieść wrażenie, że na początku dziennika, przy dacie 1 maja, spotyka skrupulatnego skrybę, powiedzmy, anty-Bartleby’ego, który na myśl o pisarstwie (także: dziennikopisarstwie) jako swoistej mimetycznej księgowości, deklaruje „wolałbym tak”. Czy jako pisarz, który – parafrazując pieśń Kazimierza Grześkowiaka – żywemu nie przepuści, czcionką do papieru przyszpili, myślałeś o *Dzienniku* jako konsekwencji tego stanu rzeczy (a właściwie słów), czy też jako o szansie na złamanie swojego wizerunku (bo o wizerunku czy marce „Jacek Dehnel” jeszcze tu porozmawiamy)?

Nie należy się przesadnie martwić opinią, bo ona rzadko ma coś wspólnego z rzeczywistością. Myślę sobie, że sporo moich tekstów z tych czy innych względów można przypisać do postmodernizmu – apokryfy z *Kosmografii* czy moich tak zwanych felietonów muzycznych do *Muzyki w Mieście*. To przecież czysta zabawa starymi tropami, porzuconymi opowieściami, zonglerka mnóstwem aluzji. *Lala* ma sylwiczną, niejednorodną naturę, *Balzakiana*, podobnie jak pisany teraz przeze mnie bernhardowski *Krivoklat*, to tak lubiany przez postmodernizm gatunek: pastisz. Dobrze to ująłeś, w jednej tradycji to „terminowanie”, w drugiej – „intertekstualność”. Nie trzeba wielkich wygibasów, żeby za postmodernistyczną wziąć kolażową *Matkę Makrynę* i idącego na cienkiej linii między prawdą a zmyśleniem *Saturna*. Siebie zresztą w ogóle nie postrzegam w takich kategoriach modernizm/postmodernizm, serio/żartem, proza/poezja. Uważam, że tu jest pełne continuum, że można płynnie przechodzić z jednego w drugie.

Z pewnością nie planowałem *Dziennika* jako instrumentu do zmieniania mojego wizerunku; wizerunek, czyli to-co-się-innym-o-mnie-zdaje, można sobie korygować w wywiadach, bo do tego między innymi są. Aczkolwiek

mam niewielką wiarę w możliwość takich zmian. Od moich pierwszych zauważonych książek, czyli *Żywotów równoległych* i *Lali*, minęła dekada, a ja nadal jestem opisywany jako młody dandys, chodzący w cylindrze, polecony przez Miłosza, wszystko z zamrażarki wyjęte, nietknięte zębem czasu. Ani zębem refleksji. Więc spokojnie, *Dziennik* też nic nie zmienia.

Pierwszym słowem w języku polskim przeczytanym przez małego Jacka Dehnela – jak dowiadujemy się z *Dziennika* – było słowo „antena”. Chodziło o tytuł gazety z lat 80., ale konsekwencje metaforyczne widzę tu ogromne. Bo czyż literat – powieściopisarz i poeta w jednym – nie jest właśnie anteną wychytującą rejestry polszczyzny? Na ile czujesz się takim językowym „przewrażliwcem”, kimś, kto w zasadzie przewodzi impuls – podobnie jak treść zapisków w *Dzienniku* przewodzi wydarzenia z roku 2013? Jesteś bardziej anteną-nadajnikiem czy anteną-przekaznikiem?

Trochę tak, jasne, bo tu są notatki z rozmów podsłuchanych gdzieś w autobusie, w sklepie, ale nie tak znowu dużo. Akurat pisząc *Matkę Makrynę*, znacznie bardziej czułem się anteną, nastawioną na konkretną postać, tytułową zakonnice, ale i na jej ludzkie i, co za tym idzie, językowe otoczenie: zmartwychwstańców, wieszczów i tak dalej. Myślę, że język *Dziennika* jest spośród wszystkich moich książek stosunkowo najbliższy temu, jak po prostu myślę, jakie słowa i metafory układają mi się w głowie.

Teraz czeka mnie bardzo antenowe zadanie, bo *Krivoklat* ma być w całości, na wszystkich piętrach, pastiszem Bernharda. Czyli to jest nastawienie na cudzy język, budowanie frazy, i to frazy bardzo specyficznej – możemy tylko dywagować, na ile to jest rejestr polszczyzny. Ale cóż, ja go znam i obcuję z nim tylko w przekładzie, jest to więc język nie Bernharda, a jego polskich tłumaczy, część polszczyzny, którą zbudowali, tłumacząc jego książki.

Kiedy opisujesz splątane dzieje swojej rodziny, a w opowieści o przodkach mamy i taty przewijają się wątki jaćwiesko-hugenocko-tatarsko-komunistyczne (to tak w skrócie, bo panorama układu korzeniowego jest znacznie szersza), wieńczysz ów szkic rodowodu konstatacją, że jeszcze głębiej, choć wcale nie aż tak bardzo głęboko, było pogaństwo. I wymyka Ci się westchnienie o bóstwach targających za nogę w zimnym brodzie. To z kolei ładna metafora narodowej czy społecznej genealogii z jej atawizmami i obciążeniami, a przy okazji ciekawy przypis do narratywistycznej interpretacji historii Polski, który sugeruje, że do codziennych Wiadomości w TVP warto podchodzić jak do kroniki Wincentego Kadłubka. Czy przy pisaniu *Dziennika* nie nawiedzały Cię narratywistyczne duchy? Na ile czuleś, że to w pewnym sensie kolejna twoja powieść?

Nie, powieść nie. Ja zdecydowanie jestem przekonany, że to powieścią nie jest, że to jest mój literacki eksperyment z zupełnie inną formą, która, poprzez zespolenie z realnym życiem, różni się zasadniczo od fikcji. Można oczywiście pisać dziennik kompletnie kreacyjny, zmyślić sobie życie, czy, jak w tym przypadku, rok z życia – czemu nie? Ale poszedłem inną ścieżką.

I jasne, że każda selekcja faktów, że styl obrany, by opisać jakies zdarzenie, są kreacją. Kreacją jest, rzecz jasna, sam koncept: to, że pisze się akurat przez rok, że jest to rok chrystusowy, że sprawdzam, co inni ludzie robili w tym wieku. Pisząc, miałem jednak wrażenie, że o prawdziwym porządku tej książki decyduje bardziej to, co zewnętrzne, czyli świat, koleje wydarzeń, napotkani ludzie, niż to, co wewnętrzne, czyli moje plany.

Jeden z moich ulubionych fragmentów *Dziennika* to opowieść szkatułkowa o pani Wiktorii Śliwowskiej, gdzie w środku pojawia pół wieku wcześniejsza historia jej ojca Józefa Zawadzkiego i jego przyjaciela Józefa Rybickiego, a w niej z kolei mamy ukrytą sto lat wcześniejszą opowieść o generale Józefie Bemie. O wiele bardziej podobają mi się właśnie takie fragmenty niż te zawierające notatki z codzienności. Co

o tym myślisz teraz – kiedy *Dziennik* już poszedł do druku? Wolisz, kiedy przez stronicę wieje duch epicki czy mały duszek-pamiętnikarz Jackowo-Dehnelowej codzienności?

Dziennik przed wydaniem miał, jak wszystkie moje książki, kilkoro czytelników – po pierwsze Pietię, po drugie redaktorów, po trzecie – zaufanych przyjaciół. Całość ma ponad milion znaków i nawet po usunięciu fragmentów bardziej osobistych, o co zresztą toczyły się poważne spory pomiędzy tymi pierwszymi czytelnikami, chciałem coś pousuwać. O ile jednak zazwyczaj nie mam kłopotu ze skracaniem tekstu, o tyle tutaj byłem bardzo niepewny, bo zapis własnego życia przycina się jakoś wyjątkowo trudno. Nie wiedziałem, co powinno wylecieć, co koniecznie zostać, więc pytałem. I wyobraź sobie, że każdy z pytanych, a są to ludzie literacko bardzo świadomi, inne rzeczy uznawał za konieczne, a inne za zbędne; kawałków wskazanych przez parę osób jednocześnie było naprawdę niewiele – i one wyleciały. A reszta proponowanych skreśleń tak się wzajemnie wykluczała, że nie byłem w stanie zaobserwować nawet jakichś statystycznych prawidłowości. I teraz czasem się przychyliam do jednej opinii, czasem do drugiej. Cóż, będzie więcej czytelników, to ocenią.

Ale poza wszystkim, myślę sobie, to też jest codzienność. Tyle, że tego dnia nieco odświętna, bo akurat przyniosłem do domu piękny bibliofilski podarunek od pani profesor i zacząłem szukać, szperać, zapisywać, aż rozrosło się to w osobną całośćkę. Gdybym jednak nie pisał Dziennika, to szukałbym dokładnie tak samo, bo taką mam naturę, szedłbym śladem tych samych pieczętek, notek, zagadek. Po prostu nikt by o tym nigdzie nie przeczytał.

Dominik Antonik w książce *Autor jako marka* pisze o dominacji autora (jako swoistej kulturowej kreacji tożsamościowej) nad tekstem literackim. W grę wchodzi aspekty komercyjne, więc chodzi o markę wpływającą na nakład książki, ale przecież nie tylko o to. Wykreowany autor (który gwarantuje zaspokojenie kulturalnych potrzeb) daje także glejt

na intelektualne, emocjonalne czy w ogóle duchowe, czytelnicze leniwość. To takie rozdawanie dyplomów inżyniera Mamonia, tyle że nie w dziedzinie filmu, lecz literatury. Nie obawiasz się, czy aby nie byłeś jako autor *Dziennika* nazbyt wizerunkowo konsekwentny?

Gdybym miał być konsekwentny wobec tego wizerunku, który się ukształtował w bardzo luźnym oparciu o to, jaki faktycznie jestem, i który gdzieś tam sobie w świecie pokutuje, to przecież napisałbym zupełnie inny *Dziennik*! Żadnego grania na komputerze, żadnego biegania ani siłowni, żadnego telepania się drugą klasą osobowego na prowincję prowincji, żeby tam opowiadać o literaturze grupie niespecjalnie zainteresowanych licealistów. Odżywiałybym się kawiozem i szampanem, dni spędzałbym na spaniu, noce w operze i na balach, ewentualnie ćwicząc dyscypliną chłopów pańszczyźnianych.

Natomiast tu jestem, jaki jestem: życie, które wydaje mi się zupełnie zwyczajne, jakieś remonty, chodzenie na zakupy, jakieś wakacje, chore gardło, bieżączka. I to może jest jakoś spójne, bo zastane. W końcu to życie tak właśnie się wydarza, w takiej sekwencji, skoro więc wydarza się w rzeczywistości na sposób ciągły, to i na piśmie jest spójne, ale z moim wizerunkiem niewiele ma wspólnego, bo on niewiele się łączy ze mną prawdziwym.

Mikołaj Marszycki omawiając *Dzienniki* Jerzego Pilcha, napisał: „Powiedzieć, że lektura *Dzienników* Pilcha, to obcowanie z wielką literaturą, to nic nie powiedzieć”. Uff, to jeden z recenzenckich rekordów w polerowaniu autorskiej marki. Masz się czego obawiać. Ale z drugiej strony, może to jedyna szansa, by ludzie – taki trochę większy nakład ludzi – mogli posłuchać, co ma do powiedzenia ktoś inny niż polityk, biskup czy słynny sportowiec? Może, mimo wszystko, warto iść w tę pi-sarską markowość?

Nie wiem, prawdę mówiąc. Pisząc *Lalę*, *Saturna* czy *Matkę Makrynę* miałem bardzo czytelne poczucie tego, co chcę osiągnąć i czemu służyć słowa;

przy *Dzienniku* wahałem się i nadal się waham. Kiedy mam bohatera i prowadzę go przez kolejne rozdziały, mogę go pogłębiać, dodawać mu różne cechy, pakować w zajmujące perypetie, byle tylko postać była plastyczniejsza i ciekawsza. Siebie ani swojego życia nie zmienię – mogę mu się dokładniej przyglądać, bardziej się wycężyć, próbując je zrozumieć w różnych aspektach. Ale nie dopiszę sobie pojedynku z Godzillą ani wyprawy na Księżyc. Czy nawet do Pułtuska, skoro tam nie pojechałem. Więc: jest jak jest. Jak było. Dzień po dniu. I „markowość” czy jej brak niewiele tu zmieniają – po wielu latach pisania o kim innym postanowiłem spróbować pisania o sobie, może czytelników to zainteresuje, a może nie.

Dominik Antonik, rozważając problem autorskiej marki, szczegółowo analizuje go na dwóch przykładach – Michała Witkowskiego i Jacka Dehnela. Marka jest według niego sztucznie stworzoną platformą, na której stoi autor. Stoi jak ten rosyjski turysta z vuittonem – wzięty z opowieści Michała Witkowskiego, którą cytujesz w części *Dziennika* opowiadającej o wyjeździe do Pragi – podczas alarmu w hotelu. A więc jest to autor nie wiadomo, na ile zmyślony, wykreowany, wyfotoszopowany z codziennego istnienia, a na ile po prostu z życia wzięty. Jak to było podczas pracy nad *Dziennikiem*, przy konkretnych fragmentach dotyczących grzebania we własnym „ja” – ta podwójność własnej osoby dodaje skrzydeł czy raczej je podcina?

Ja dużo mówię, dużo piszę, ale nie jestem zbyt wylewny. Nie grzebię aż tak we własnym ja, mam wrażenie. Może błędne. Nie lubię pisać o sobie, w gruncie rzeczy. Mam poczucie, że to jest nieatrakcyjne, nieciekawe, wołę o świecie, wołę zanotować anegdotę niż własny stan emocjonalny. Nawet jeśli ta książka jest najbliższym zapisem mnie i mojego życia, to mam jakiś wstręt przed ekshibicjonizmem. A przynajmniej przed tym, co za ekshibicjonizm uważam, bo pewnie część czytelników stwierdzi, że zupełnie się tu ukryłem, że oni czekali na bebechy emocjonalne, na pikantne plotki, na

Bergmana, więc jestem za mało otwarty, a inni – przeciwnie, że epatuję, że obnoszę się, że wszystko kawa na łąkę wykładam.

W malowniczym fragmencie opisującym wyjazd do Pragi pojawia się sprzeczność: powszechne mentalne bucerstwo i higieniczne zapuszczenie Czechów kontra godna pozazdrosczenia (choćby za pomocą pieśni zawiści – słusznie zacytowanej) architektura czeskiej stolicy oraz pytanie: skąd oni biorą tych chłopców (no i dziewczyny – przypis M.W.) do pornowytwórni. Czyli znowu powraca problem: fasada kontra wnętrze, kreacja kontra rzeczywistość. Swoją drogą, będąc ostatnio w Budapeszcie, też przecież słynącym z architektonicznych i pornograficznych cudów, wrażenie miałem takie samo. Nie chcę tu sugerować, że właśnie zmieniamy sobie (my – Polacy) konstelację parlamentarną na bardziej prawicową, bo chcemy mieć tak samo, jak oni. Ale może taka podwójność – zamiast spójności życia społecznego – jest jednak obiektem nieświadomej tęsknoty. Co o tym sądzisz?

Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli mieć taką stolicę jak Czesi albo Węgrzy, nie widzę tego; Warszawa jest miastem pokancerowanym, niespójnym, w dodatku dręczonym przez hurrakapitalizm, czyli wolną amerykańską billboardowo-reklamową, sobiepaństwo deweloperów i niewiarę w urbanistykę, bo przecież właściciel działki na zagrodzie równy wojewodzie. Lubię ją, uważam, że ma piękne fragmenty, lubię w niej mieszkać, ale miss Europy Wschodniej nigdy nie zostanie. Natomiast, faktycznie, Polacy i Polki ładnieją. Polki to ponoć zawsze były ładne, to jest powtarzająca się sprawa w różnych relacjach od niepamiętnych czasów, a Polacy ogarnęli się w ostatnich kilkunastu latach. Nie sądzę, żeby poprawiły się nam geny, po prostu dbamy o siebie; kosmetyki, siłownie, inne ubrania; młodzież jest teraz zrobiona tak, jak nikt czy prawie nikt w moich czasach licealnych, tym bardziej twoich. Inne plemię, pod różnymi względami.

„Na przeciwległym torze stoi pociąg Kołobrzeg – Kraków. Okazuje się, że nasza lokomotywa to od nich. I teraz konflikt, kto weźmie lokomotywę: TLK do Krakowa, czy EC do Warszawy. My z wyższym stopniem zaszeregowania, ale u nich pasażerowie roślejsi, rozbudowani i do bitki wyraźnie skorzy”. Dychotomie, podziały (na dwie Polski, dwa podejścia do życia, dwóch Jacków Dehnelów, tego pisarza-celebrytę z sesji do „Vivy!”, i tego, który ostatnio telepał się dramatycznie w busie z Sokołowa Podlaskiego), w ogóle wszelkie niekonsekwencje i sprzeczności wydają mi się najciekawszym paliwem *Dziennika*. Były takie momenty – już podczas redakcji, dokonywania wyborów, co wchodzi do wersji publikowanej, o co nie – kiedy czuleś, że wygrywają notatki z niższym stopniem zaszeregowania, że podpięła się jakaś nieoczekiwana, „szaleńcza” lokomotywa?

Wiadomo, że dobre kompozycje robi się na kontrastach – nieprzesadnych, bez efekciarstwa, ale na kontrastach jednak. Tyle, że ja tu niewiele miałem siły sprawczej, to nie jakieś sprytne sztuczki pisarskie; efekty wynikały z samego biegu wydarzeń, z tego, że życie na ogół jest „przekładawcowe”. I jeśli się bardzo go nie nagina, tylko spisuje, jak leci, to tak wygląda – owszem, można to wpychać w jakieś formy ustalone, żeby sobie – i czytelnikom – coś udowodnić, choć pewnie łatwiej w dziennikach jak Gombrowiczowski, czyli obejmujących ileś lat, a nie w takim „sejsmograficznym”, gęsto i obficie opisującym tylko jeden rok. Każdego z nas ciągnie wiele lokomotyw, każda innym tempem i w innym stopniu zaszeregowania.

Weźmy fragment o miarach: „Nie mam miary w rejestrowaniu własnego świata. Bohaterów mogę zamknąć we właściwie, powiedzmy, skrojonym świecie: dostają tyle wolności, ile trzeba, i tyle precyzji w opisach, ile to konieczne; nie przekazuję całego ich dnia, od rana do wieczora, lecz jedynie węzły życia, które prowadzą ich przez fabułę. Co innego ze sobą: nie wiem, co mnie prowadzi przez fabułę życia”. A gdzie

indziej nieoczekiwany doń przypis: „Ja tym razem miałem zaskakująco mało skurczów serca na widok dzieł; owszem, piękna dama Petrusa Christusa, owszem, Vermeer, owszem, anioł Caravaggia, owszem, głowa Nefretete. Ale nie aż tak jak za pierwszym razem. Najsilniejszy obraz, który stamtąd przywiozłem: pierwszego dnia na Friedrichstrasse przed jakimś sklepem gruba kobieta we wzorzystej bluzce i szafirowych szarawarach (wokół oczu równie szafirowe cienie) wdeptuje butem na platformie pestkę brzoskwini, rudawą, w sierści wilgotnych włókien, w otwory żeliwnej kratki od studzienki”. Jakże to niewłaściwie skrojony świat, jakże gruba kobieta prowadzi przez fabułę życia, zamiast Vermeera z Caravaggiem, jakaż ulga dla czytelnika. A czy dla autora też trochę?

To chyba nie kwestia ulgi, a różnicy, przemiany. *Dziennik* jest w dużej części o tym miejscu w życiu, w którym się znalazłem, czyli w symbolicznym zamknięciu pierwszej, a jak kiedyś mi się zdawało – wręcz jedynej młodości. Wiele rzeczy mi się zmienia, w tym stosunek do dzieł sztuki, w ogóle stosunek do tego, co widzę. Coś się przestawia w oku, w mózgu, w pamięci. Kiedyś miałem w sobie ogromny głód, ogromną potrzebę oglądania arcydzieł, również dlatego, że przez całe dzieciństwo oglądałem albumy ze sztuką i miałem te obrazy, mam zresztą nadal, wdrukowane w pamięć, ze szczegółami. Ale tak mi się złożyło w życiu, że dzięki literaturze sporo podróżuję i widziałem już większość najważniejszych kolekcji, często kilkakrotnie – zostało mi Prado, muzea rosyjskie, parę muzeów amerykańskich, ale znacznie więcej mam już za sobą i nie odczuwam już tego dreszczu, że spotkam obraz, który towarzyszył mojemu dzieciństwu. No dobrze, z rzadka, ostatnio przed dwoma Brueghelami w Neapolu, czyli przed „Ślepcami” i „Mizantropem”. I przed trzema Caravaggiami tamtejszymi, ale już mniejszy. Znacznie częściej przyciąga mnie margines. Nastąpiło przejście od poszukiwania piękna do poszukiwania osobliwości czy dzikości – więc, w jakimś sensie, przeżywam to, co sztuka przechodziła w drugiej połowie XIX wieku, aż do *Belle époque*. Może ta kobieta w turkusowych szarawarach to

świadczenie jakiejś fazy fowistycznej czy ekspresjonistycznej? Nie wiem. Ale oko mi się przestroilo.

Osobna część *Dziennika* to jego część „ubolewawcza”. Można ją podzielić na wzdychanie nad marnością własnego pisania (w tym: metarefleksyjne wzdychactwo nad marnością dziennikopisania) oraz na akapity wanitatywne, mementomoryczną katarynę, która nawet w ciemnej plamce na zębie, w jednej z Twoich notatek, potrafi ujrzyć nie nutę dla pojedynczego westchnienia, ale całą partyturę. Kontynuujesz tu znakomitą tradycję reprezentowaną przede wszystkim przez Jarosława Iwaszkiewicza, a ze współczesnych – przez Jerzego Pilcha. Na ile, jak sądzisz, wynika ta tradycja z przewrażliwienia językowego czy duchowego właściwego pisarskiemu fachowi (prozaicy mają dzienniki, zaś poeci bezpośrednio wiersze: arcymistrzem wanitatywnego załamywania rąk jest Jarosław Marek Rymkiewicz, zaś codzienne romantyczne mal-kontenctwo niezrównanie uprawia Marcin Świetlicki), a na ile jest częścią szerszej pojętej kultury (polskiej, katolickiej czy w ogóle zachodniej – indywidualistycznie przewrażliwionej)?

Z pewnością kult indywidualności, odróżniania się, osobnej tożsamości, czyli coś, co można porównać z terytorialnością zwierzęcą, znaczeniem terenu swoim niepowtarzalnym zapachem, ma się znacznie lepiej w społeczeństwach Zachodu, niż we wschodnich społeczeństwach typu ul czy termitiera, gdzie bardziej liczy się wspólnota i współdziałanie. Termit pracujący na pozycji 56A/c jest do zastąpienia przez kolejnego termita, którego się po prostu tam wysyła, więc nie ma się co przesadnie użalać nad tą wymianą (przy czym, żeby było to jasne, jak wiemy z antycznych przypowieści, ul może pokonać lwa, zatem to nie jest w żaden sposób wartościujące, że „my to królewskie zwierzęta”, a „oni to robactwo”). Sir Oliver Lodge, wynalazca świecy zapłonowej i zawołany spirytysta, miał nawet taką teorię, że ewolucyjnie kiedyś nie mieliśmy żadnej jednostkowej tożsamości i byliśmy, jako

bakterie i wirusy, praktycznie nieśmiertelni, natomiast chcieliśmy się różnicować i uzyskiwać indywidualność, a to zrodziło śmierć, bo jeśli indywidualne umiera, to drugie indywidualne go nie zastąpi. Śmierć w ujęciu Lodge'a jest zatem pochodną tego, że jesteśmy *kims*, a nie *każdym*.

Kiedy zauważasz przytomnie, że „wszystko, co przez całe życie napisałem, nad czym spędziłem tyle godzin, kopiuje się szybciej niż jeden album zdjęć z tygodniowych wakacji”, albo kiedy malowniczo wzdychasz nad swoimi wierszami (których doliczyłeś się łącznie 250 szt.): „Ogromnie zenujący ten strzał w pustkę, cała seria puszczona w ciemność, dwieście pięćdziesiąt naboju, z których prawie żaden nie trafi, a te, co trafią, pewnie i tak zbędnie, nie wiadomo w co”, to przypomina mi się jedna z groteskowych podróży Ijona Tichego (opisana przez Lema w *Dziennikach gwiazdowych*) Bohater jest przerażony zrobionym mu na jednej z planet atomowym życiorysem, a w konsekwencji tym, że tak łatwo go rozbić na atomy i przesłać jak faksem. Potem zaś trafiam w *Dzienniku* na cudowną anegdotę o serbskim mamucie z Kikindy, który pewnemu pocie odebrał radość literackiego wyjazdu i pozostawił go o głodzie i w dyskomforcie na cały wieczór. Skąd to trawiące przeświadczenie, że pisarskie życie to coś więcej niż krótki wyjazd na gościnne czytanie? Skąd ten mamut w głowie, którego chcemy zachować i zawracamy nim głowę wszystkim naszym wewnętrznym instancjom? Sądzisz, że winna jest romantyczna tradycja? Literackie zadzieranie nosa?

Nie, tu chodzi, myślę sobie, w ogóle o szczupłość ludzkich dokonań. Bardzo rzadko i mało kto może powiedzieć, że ma dokonania rzeczywiste, przy czym nie chodzi tu o sławę, ale o faktyczną przemianę świata. Takie właśnie zrobił na mnie Jimmy Carter, który już po tym, jak przestał być prezydentem, zajął się zwalczaniem nitkowca, afrykańsko-azjatyckiego pasożyta, powodującego potworne cierpienie, a często śmierć nosiciela. W 1985 roku było trzy i pół miliona zarażeń, po trzydziestu latach, czyli w czasie mojego

życia, zmniejszyło się to najpierw do kilku tysięcy, a w tym roku do kilkunastu przypadków na świecie. Ale takie dokonanie to rzadkość, ja mam tylko jakieś wiersze, jakieś książki, o których trwałości i znaczeniu nie sposób wyrokować. Zawsze jednak myślę sobie przy takich okazjach o dziele *Słownik biograficzny statystyków polskich*, którego kiedyś nie kupiłem od pana handlarza, sprzedającego parę książek z koca pod Halą Mirowską. Poskąpiłem dwóch dych, szkoda, bo to pewnie jedna z najsmutniejszych książek świata. Doktor taka a taka, w latach 1958–64 zajmowała się cielnością bydła, w latach 1965–72 pogłowiem trzody chlewnej. Doktor taki a taki, specjalista od statystyki ginących zawodów. I tak kolejno, biogram za biogramem, taka statystyka to niby rzecz przydatna, ale w masie robi ona potwornie przygnębiające wrażenie. To już nawet moje wiersze wydają się lepszym rozwiązaniem problemu „Co robić w życiu?”.

Dziennik roku chrystusowego o wiele mocniej do mnie przemawia jako kronika pewnego czasu (w którym autor, Jacek Dehnel, miał swoje przysłowiowe 15 minut sławy) niż konkretnego pisarskiego żywota. Czy przeczytałem Dziennik bardzo wbrew Twoim intencjom?

Nie mam żadnych intencji, nie przygotowałem czytelnikom planu czytania *Dziennika*, że mają tu zacząć, tam skończyć, a po drodze dojść do następujących wniosków. To wolny kraj i wolna książka, każda interpretacja, jeśli ma podparcie w tekście, jest uprawniona. Nie wiem, czego to jest kronika, ale raczej nie „żywota”, przez swoją wycinkowość, sondowość, o której już wspominałem. Kronika mojego roku, roku moich bliskich, roku Polski, choć już nie świata, świat mniej mnie tam zaprzęta, raczej lokalność. Jeśli nawet są podróże, choćby i dalekie, to nie zajmuję się w książce globalną polityką, tylko konkretną ławką, stojącą nad brzegiem jeziora Pichola w Indiach albo przy cmentarzu w Hebden Bridge.

Pod pewnymi względami żadna książkowa premiera od dawna nie była dla mnie aż tak interesująca, bo nie tylko nie wiem, ale nawet n i e

s p o d z i e w a m s i ę, w którą stronę pójdzie odbiór *Dziennika*, jak odbiorą go krytycy i czytelnicy, co w tej masie wydarzeń, niewydarzeń i opisów wyda im się zajmujące, co zbędne. Na razie sobie myślę, że w dużej grupie może się powtórzyć doświadczenie, które miałem z garstką pierwszych czytelników, czyli że całość jest obfita i różnaita, więc ludzie będą na różne rzeczy się krzywili i z różnych się cieszyli. A może w ogóle ta książka, jak się niektórym zdarza, przypadnie i sama będzie niewydarzeniem? Nie wiem.

wrzesień – październik 2015